NUMER 22. DNIA 10. CZERWCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

MICHAŁ DAVITT

1846 — 1906

Nie jest nowiną dla Erinu boleć i łzy wylewać. Wieki cierpień, wieki krwi przelanej, wieki nędzy i prześladowania oraz wieki borykania się z losem nieubłaganym — to dzieje stałe Irlandji. Nie masz zakątka na wyspie zielonej, który by nie cierpiał, nie kurczył się z bolu. Ale dziś Erin z okiem suchem a zaiskrzonem, z westchnieniem bolu, pełnem dumy i zapalczywości przyjmie wieść straszną. Z ust do ust przelatywać będą słowa: Michał Davitt nie żyje! I szept cichy zamieni się w krzyk wielki, a miljony na wyspie zielonej z głową obnażoną iść będą za zwłokami jednego z najlepszych i wołać będą: Erin żyje!

Ze spółczesnych działaczy irlandzkich nikt nie uosabiał tak silnie kraju nieszczęśliwego — jak Michał Davitt. Nie miał on wymowy i ognia ani też sławy O'Connela — nie miał on siły zimnej Parnella, tej siły, wobec której czoła Albionu albo zapalały się rumieńcem gniewu bezsilnego, albo też bladły z niemocy jawnie przyznanej. Ale życie Davitta było odzwierciedleniem dziejów Erinu; od kolebki niemal Davitt był wojownikiem, zanim jeszcze stał się fenianem. Od kolebki niemal cierpiał jako irlandczyk, by potem przejść przez Kalwarję katorgi angielskiej. Chłopięciem będąc, pokumał się z demokracją angielską i potem był przez nią czczony. Zanim chłop irlandzki, którego Davitt zorganizował w „ligę ziemską“, zdobył sobie ziemię, Michał Davitt, dziecię chłopskie, poruszył wszystkie sumienia angielskie.

Jeżeli można powiedzieć o kimś, że duch jego żyje między ludźmi, to z pewnością nie masz na ziemi irlandzkiej ani nawet w Anglji miejscowości, w której by nie było śladów pracy Davitta. Gdziekolwiek rzucimy okiem po Królestwie Zjednoczonem, echo powtarza jeszcze dawno wygłoszone wezwania zmarłego do walki o sprawiedliwość i wolność. A i ze świata nowego, przez ocean atlantycki dolatuje nas dziś szmer uznania dla tego, który tam, na obczyźnie zrzeszał swych ziomków i łączył ich westchnienia z westchnieniem Ameryki demokratycznej.

Ten Michał Davitt, któremu nawet Londyn bogaty i wsteczny, a w dodatku wrogi, nieraz cześć oddawał, urodził się w 1846 roku, w chacie wieśniaczej, w hrabstwie Mayo! Już nazwa sama Mayo wywołuje tysiące wspomnień; tam nie masz powiewu najmniejszego, który by nie opowiadał o cierpieniach wiekowych i walkach wiekowych. Michał był chłopięciem sześcioletniem, gdy cała rodzina została bez chleba, bez dachu. Przyczyna? Zwykły to wszak był los chłopa irlandzkiego, że go z ziemi wyzuwano i z chaty komornikami wypędzano. Sześcioletnie chłopię dowiedziało się już, co to znaczy kij żebraczy, co znaczy wygnanie z ojcowizny, a i z kraju rodzinnego, bo w pogoni za kawałkiem chleba rodzina wyemigrowała do Anglji. Tam, na północy Anglji, w hrabstwie Lancashire za pracę w fabryce tkackiej cała rodzina, wygnana z Mayo, otrzymała strawę codzienną.

Pracował i Michał sześcioletni. Z brzaskiem dnia spieszył już do fabryki, dzień w dzień i to przez cztery lata z rzędu. Gdy Michał miał lat 10, maszyna urwała mu rękę. Była to danina nowa, którą Michał uiścił przemysłowej Anglji. Ale o tę rękę swą walczył, bo pochował ją na

cmentarzu katolickim przy murze w Rattenstall. „Tam — mawiał później Davitt — została moja prawica“. Mawiał on tak, kiedy lewicą swą dał się już był we znaki wrogom wolności irlandzkiej.

Zbyteczny w fabryce Davitt począł uczęszczać do szkoły. Nauczycielem jego był protestant, pastor wesleyański. Braterstwo demokratyczne złączyło serca tych dwóch ludzi, (bo Michał już był człowiekiem historji cierpień), powaśnionych w wierzeniu. Przyjaźń zawarta między chłopięciem katolickiem a kaznodzieją protestanckim przetrwała niejedną burzę polityczną.

W miasteczku Davitt znalazł pracę w drukarni, gdzie był pomocnikiem zecerskim. Zarabiał, co lewa ręka zrobić mogła. Powoli Michał wykształcił się na buchaltera.

Kiedy prowadził księgi swych pryncypałów, Michał młody nie zapominał o swej ojczyźnie, która, zdawało się wtedy, nie ma niczego dobrego w swych aktywach. Wszędzie bieda, wszędzie klęski! Po porażce 1848 roku następuje demoralizacja; ręce opadają uczciwym, którzy ojczyznę chcą podnieść. Praca legalna, która tak świetnie się zapowiadała, gdy Gavan Duffy zorganizował w 1852 roku „ligę dzierżawców“, zwaną także „ligą Północy i Południa“, bo jednoczyła protestantów północy z katolikami w południowej części Irlandji — ta praca, powiadamy, legalna została podkopaną i zmarnowaną. Rząd angielski począł prowadzić intrygi klerykalne, siać nienawiść religijną. Gavan Duffy opuścił kraj i wyjechał do Australji.

Wtedy Michał i jemu podobni mówili sobie: trzeba skrywać pracę naszą dla Erinu od złego uroku Albionu, trzeba spisku i broni do walki.

Michał Davitt, mając lat 17, był już Fenianem z ducha, a w 1865 roku wstąpił do organizacji.

Garść Fenianów na północy Anglji powzięła była projekt zuchwały. W kraju nie było broni i spisek groził rozpadnięciem się z powodu braku czynów. Ale jak zdobyć broń! Spiskowcy pieniędzy nie mieli, bo rekrutowali się z ludu pracującego. Trzeba było wypadku takiego, jakiemu uległ Davitt — trzeba było maszyny, która rękę obcięła, by dojść do arystokratycznego położenia buchaltera o płacy zresztą nędznej. Postanowiono więc zdobyć broń. Drobnemi grupami spiskowcy mieli się udać w okolice zamku Chester, gdzie rząd angielski miał arsenał niewielki, uderzyć na zamek, opanować pociąg pierwszy, broń przewieźć do Liverpoolu, a stamtąd statkiem do Irlandji.

Kiedy Michał Davitt przybliżał się w dzień oznaczony do Chesteru, nie trudno było poznać, że rząd wie o wszystkiem i że przygotowany wyczekuje oddziałów fenjańskich. Grupy zręcznie się cofnęły. Davitt był oskarżony, ale w księgach jego pracodawcy znaleziono zanotowaną jego bytność tego dnia w biurze i policja musiała dać za wygraną.

Davitt powziął nowy projekt zbierania broni. Porzucił on swe zajęcie i został agentem podróżującym, mając w ten sposób możność zbierania i skupywania broni, którą koncentrowano w kilku punktach dla następnego przesłania do Irlandji. Czasami broń, po zakątkach skupioną, wysyłano jako paki z mydłem do oddzielnych osób w większych miastach. Davitt wybrał sobie miasto fabryczne Leeds za punkt centralny.

Razu jednego beczka z mydłem rzekomem oczekiwała zbyt długo odbiorcy. Policja angielska, która śledziła irlandczyków, miała agentów swych we wszystkich dworcach miast przemysłowych. Jeden z tych agentów w Leeds zwrócił uwagę na nieodebraną beczkę z mydłem. Ponieważ nazwisko odbiorcy było mu znanem, zaczął podejrzywać, że rodzina prywatna nie może zużyć takiej ilości mydła. Agent policyjny odkrył rewolwery zamiast mydła! Uwaga policji była już obudzoną. W kilka dni później przytrzymano nowy transport rewolwerów, a w Dublinie znaleziono cały skład broni.

Fakty te zaalarmowały opinję publiczną i rząd. Obawa powstania irlandzkiego pobudziła rząd do czujności. Davitt, któremu udało się ujść z Leeds, został wkrótce przytrzymany w Londynie, w chwili, gdy na kolei żelaznej miał otrzymać broń. W 1870 roku Davitt został skazany na 15 lat, a jego spólnik Wilson nu 7 lat ciężkich robót.

W więzieniu przestępca Davitt musiał odpokutować i za „naruszenie prawa“ i za pochodzenie irlandzkie. O jednem ręku był on używany do pracy w wydobywaniu kamieni. Niektórzy z kryminalistów, widząc to potworne znęcanie się nad człowiekiem, ukradkiem nieśli mu pomoc, by ocalić „mańkuta“ od kar dyscyplinarnych. A jednak, w tej katordze Davitt pozyskał względy nauczyciela więziennego, który dał mu

różne gramatyki oraz słowniki. To na katordze Davitt nauczył się kilku języków, oraz zaznajomił się gruntownie z ekonomją polityczną.

(Dok. nast.). *Stanisław Mendelson.*

JÓZEF JEDLICZ.

CIEŃ.

Nieraz, wskróś żywych świtu mgnień,
Gdy w niebie śpiewa głusza złota,
A wkrąg złociście żar chichota,
Zwisa nademną wielki cień...

Wnet smutkiem gaśnie złoty dzień!
Skrzy w nocy bladych czarów grota —
Jak nieruchoma mroków psota,
Zwisa nademną wielki cień...

Próżno próbuję wybiedz zeń,
Próżno się duch w zapasach miota —
Nieczuły w mgłach, jak gór martwota,
Włada nademną wielki cień...

I próżny trud słonecznych lśnień,
Złota czerwcowych dni robota;
Wkrąg, jak otchłanne piekieł wrota,
Nadgwiezdnie włada wielki cień...

Lecz oto wstaje ma Tęsknota,
We wieńcu zwiędłych, barwnych śnień,
I mocą swych zaziemskich tchnień
Wnet mię w tęczowy sen omota,
Otuli w giezło barw i złota
I w nicość strąci wielki cień!...

NOWE TORY.

(Miesięcznik pedagogiczny pod redakcją St. Kalinowskiego. — Warszawa 1906.).

(Dokończenie).

Ludzie dorośli bardzo często nie zdają sobie wcale sprawy z tego, jak subtelnie dzieci odczuwać umieją; jakie one są wrażliwe na najdrobniejsze odcienie uczuciowe; jak bardzo umieją kochać albo nienawidzieć i jakie są strasznie sprawiedliwe w swoich sądach. Jeżeli nauczyciele się skarżą, że młodzież odnosi się do nich nieufnie lub z niechęcią; jeżeli rodzice widzą, że dziecko nie tak ich kocha, jakby — ich zdaniem — należało, wtedy nie w młodzieży szukajmy winy, ale po największej części w nas samych. Opowiadała mi raz pewna matka z żalem, że jej 7-mioletnia dziewczynka żyje zupełnie własnem życiem wewnętrznem i że stosunek jej do rodziców jest prawie obojętny. Na moje pytanie — czy też pani starała się o to, by uzyskać miłość i zaufanie swego dziecka — odpowiedziała ze zdumieniem: „Jakto, czyż ona nie wie o tem, że wszystko zawdzięcza rodzicom, że my staramy się o to, aby jej we wszystkiem dogodzić, aby miała dobrych nauczycieli i by na niczem jej nie zbywało“. Tak sądzi większość rodziców i dlatego zdaje się, że w wielu wypadkach stosunek między rodzicami a myślącemi dziećmi jest raczej konwencjonalny, niż serdeczny i przyjacielski. Dzieci tylko wtedy potrafią ukochać swych wychowawców miłością płynącą z najszlachetniejszych głębin ich ducha, gdy czują, że wychowawcy biorą je poważnie; że w odniesieniu do dziecka nie kierują się żadnym chwilowym kaprysem, żadną chwilową irytacją, żadną chęcią dokuczania, lub okazania swej przewagi — lecz ową wielką miłością dla ideału prawdziwego człowieczeństwa, ku któremu dziecko wiodą. Dziecko to znakomicie wszystko odczuwa — ono chce takiego rozumnego i szlachetnego kierownictwa; ideał wychowawców staje się mimowoli jego własnym ideałem i wtedy daje się doskonale prowadzić.

To, co tu powiedziano o wychowaniu, można też zastosować do nauki. Dlaczego dzieci jednych nauczycieli kochają, robią u nich znakomite postępy, a innych nie znoszą i nie korzystają wcale z ich nauki? Dlatego, że jeden nauczyciel uczy bezdusznie, zadaje „stąd“, „dotąd“ i żąda na pamięć wykutej lekcji. Natomiast inny potrafi ożywić swój przedmiot, wlać w niego ducha, pokazać go uczniom z takiej strony, że im się widniej i jaśniej robi w umyśle, jakby im kto nagle odwalił mur, zasłaniający wielką przestrzeń świata i życia i wykarczował nowe drogi dla myśli. A takie opadanie zapór, takie okazywanie się nowych horyzontów jest uczuciem nad wyraz radosnem i uszczęśliwiającem; jest czemś, co daje poczucie mocy, a zarazem wywołuje nieskończoną wdzię-

czność, zachwyt i miłość dla tego, kto taką radość przysporzyć potrafił.

Zdaje się, że kto pod względem wychowania lub nauki uderzył w te najszlachetniejsze struny duszy dziecięcej, ten się jeszcze nigdy nie zawiódł, lecz zawsze doszedł do znakomitych rezultatów. Podczas gdy inni... skarżą się na demoralizację młodzieży, na brak miłości i zaufania z jej strony — a gdzie takie skargi słyszymy, zawsze możemy być pewni, że coś się psuje w państwie... wychowawców.

Trzecim wreszcie momentem, o którym nie należy zapominać przy wychowaniu człowieka jest to, że ten człowiek musi się przygotować do życia, że więc i wychowanie nie powinno od życia się abstrahować, ale ciągle i systematycznie działać w odniesieniu do niego. Nie wytwarzajmy dokoła dzieci jakiejś atmosfery cieplarnianej, nie dogadzajmy im na każdym kroku, ale uczmy je zawczasu zmagać się z przeciwnościami, hartujmy ich wolę i siły odporne, rozwijajmy ich zaradność życiową i nie przytłumiajmy koniecznej im samodzielności zbytnimi zakazami, lub usuwaniem przeszkód. Ale poza tem zapoznawajmy młodzież z życiem realnem, takiem, jakiem ono jest rzeczywiście. Nie obawiajmy się n. p. tego, że młodzież interesuje się polityką. Nie starajmy się murem chińskim oddzielać wychowanków naszych od tego wszystkiego, co najżywiej obchodzi ludzi myślących i tak samo, jak zapoznajemy ucznia z otaczającą go przyrodą i dziejami epok minionych, tak samo winniśmy go zaznajomić ze skomplikowaną sferą zjawisk społeczno-politycznych, aby przygotować do późniejszego życia obywatelskiego. Słowem, nie omijajmy w wychowaniu niczego, co jest życiem. Pokażmy jego sprzeczności, jego niebezpieczeństwa i orjentujmy w tem wszystkiem dzieci nasze zawczasu, aby się potem w tem nie zgubiły. Ale przedewszystkiem orjentujmy je prawdziwie. Nie dawajmy im na drogę życia balastu fałszywych pojęć, któremi tak wygodnie zasłaniać i zapychać rozmaite szczerby i sprzeczności życiowe. Pamiętajmy, że to potem dużo kosztuje bolu i zawodów, zanim człowiek precz odrzuci to wszystko, w co go bezmyślni wychowawcy wyekwipowali, dlatego, że właśnie takimi rozporządzali szablonami.

Te nowe formy wychowawcze stawiają znacznie większe wymagania zarówno do uczniów, jak i do nauczycieli. Nauczycielom i wychowawcom łatwiej dawać rozkazy, niż roztoczyć przed uczniem wielkie ideały życiowe i wzbudzić do nich miłość i zapał. Młodzieży łatwiej słuchać starszych lub omijać ich rozkazy, niż odrazu samodzielnie stanowić o sobie i brać na siebie odpowiedzialność za swoje czyny. Na tych nowych torach pedagogicznych ścieżki nie są szablonowo wydeptane — każdy musi ich szukać na nowo i indywidualnie je wytykać. Jedna będzie tylko droga wspólna i obowiązująca: mianowicie uznawanie w dziecku człowieka i co za tem idzie, stosunek przyjacielskiej równorzędności między wychowawcami a młodzieżą. Zniknąć muszą przepaści między tymi dwoma światami. „W nowej szkole uczniowie nie mogą być rządzeni, nauczyciel może tylko kierować nimi na mocy zdobytego zaufania“. Czy ten nowy stosunek będzie uzewnętrzniony współudziałem młodzieży w radach pedagogicznych, jak tego żądają w „Nowych torach“, czy też nie, to już rzecz drugorzędna. Najważniejsze, aby rzeczywiście doszło do tego przyjacielskiego stosunku, który jest najlepszym sprzymierzeńcem pomyślnych rezultatów wychowawczych i jeszcze nigdy nie zawiódł — chyba, że się miało do czynienia z nienormalnem dzieckiem, obarczonem jakąś „moral insanity“.

Nowy duch, który zapanować ma w nowej szkole, będzie też musiał objawić się w zewnętrznym jej wyglądzie. Sale szkolne nie będą puste, zimne i surowe, nie będą miały charakteru instytucji lub urzędu, lecz ozdobione kwiatami, reprodukcjami pięknych obrazów, rzeźbionymi wizerunkami sławnych ludzi, ceramiką ludową, okazami zoologicznymi i t. d. raczej przypominać będą dom mieszkalny, gdzie dzieciom będzie bardziej swojsko i miło i gdzie chętnie przepędzą kilka godzin dziennie.

Oto mniej więcej myśli przewodnie, które odnajdujemy w „Nowych torach“, w każdym artykule, na każdej niemal stronicy. Głoszą je ludzie wielkiej kompetencji pedagogicznej i naukowej*), głoszą je z zapałem i wiarą w możliwość ich urzeczywistnienia. U nas w Galicji, gdzie stosunki szkolne i pedagogiczne są tak bardzo opłakane, gdzie młodzież grozi strejkami szkolnymi, a profesorowie nie przestają rozpaczać nad jej upadkiem moralnym, u nas właśnie to nowe pi-

*) W skład komitetu redakcyjnego wchodzą: Władysław Bukowiński, Dr. Witold Ettinger, Wacław Jezierski, Stanisław Kalinowski, Michał Kreczmar, Adam Mahrburg, Stanisław Michalski, Iza Moszczeńska, Wacław Nałkowski, Aniela Szycówna.

smo pedagogiczne powinno się rozejść w jak największej liczbie. Sfery pedagogiczne powinny głęboko wziąć pod rozwagę hasła w „Nowych torach“ propagowane; a rodzice, matki zwłaszcza, przyswoić sobie ten sposób myślenia pedagogicznego i w czyn go wprowadzać.

Czy „Nowe tory“ zyskają sobie wielu zwolenników w oficjalnych kołach pedagogicznych, trudno przewidzieć. Z radością jednak powita ten organ każdy, kto poważnie zastanawiał się nad kwestją wychowania — nie posłusznych i grzecznych dzieci — ale ludzi.

Rozalia Niedźwiedzka.

STEFANJA ŁOZIŃSKA.

MARYNINA DOLA.

(Ciąg dalszy).

Czegosi żałośnie woła na nią — nie wiedziała, skąd.

Podnosiła oczy w górę, szukając...

W tem uczuła czyjeś ręce na ramionach, żachnęła się i spojrzała w twarz Marcinowi.

— Zdrygłaś[1]) sie? — zapytał.

— Coby-ta — odrzekła, cofając się. Milczeli. Jej oczy ślizgały się po załamaniach skóry na szyi i twarzy Marcina. Przeszły na osiwiałe brwi, czoło w zmarszczkach i westchnęła.

Wtedy odwrócił ku niej głowę, pytając:

— Co ci dzisiok?... Bzyk[2]) cie użar?...

— Jeee... nie barz...

A ochota jej wzrosła, coby mu rzec, że go nie ścierpi. Telo, że nieporada! Aże ją popycha na rzeknięcie... O! świecie!... a tu ujnie dziś... jutro...

A od szybek z chałupy jakby na ugryz[3]) pryska szemranie nóg w tańcu i harmonia... jaże proch sują — jaże proch...

Jakoż ma rzec?... skoro ona bez wiana, a on gazda?... W służbę nie pójdzie...

— Maryś — przerwał jej myślenie — to juże za trzy tyźnie — ha?

— Dy wicie... — wstrząsła ramionami.

Zaśmiał się z cicha i z uradowania pogładził ją po warkoczu.

— Ostańcie ta z Bogiem! — szybko powiedziała i poleciała do chałupy, dopadła tchem, rzuciła się na sztryzlok[4]) i ścisnęła głowę rękami.

A ona cichość z polanic stanęła u odrzwia i wchłaniała łkania, co się falami zbiegały u powały. Załośliwsze podsuwała pod rzędy zczerniałych wilgocią obrazków, układając w szeregi rozpłakanych skarg.

A u dwora miesięczna nocka tuliła oparami, usypiając, tęsknoty i żale.

Ano ma w sobie dusza ludzka jakoweś smęcenie. Na pogodny dzień, na jego krasotę, ściele się w człeku nikiej granie słodkie, abo owo bujanie ptasze, rozochocone a przeciągłe, popędliwe gdziesi w górę, abo roztrzepotane na hańte rozstaje, na ścigłe drożyny.

Ale kiej sie dzień rozsmęci... a zaszmerzy wodnym dżdżem... a zasypie jękiem kropel, ony widok, coć go tyla — co szybką zaświeci... A uderzy wraz i w dyle chaty, na nice rwąc suchość drewna... I wichura od sinego boru załopoce czarnem skrzydłem, zatumani wrzawą, aże nie wypatrzysz serdecznego świtu... — ino w dumce własnej masz gonienie za przebłyskiem słońca; to zatracisz w sobie dawne radowania a poczynać musisz i on plusk ociekających deszczów — i on tęskny w chmury poziór — i patrzenie na zblakłe barwy żywota. I rozłzawi tobie taki dzień jakisi głos, ni to upragnienie — ni to wyraz smętku onego, aże markotność rozchyli ci wnętrze serca i poić się poczniesz przędzą hodowanego od dawna bolu. Od pułapu zwiśnie cisza, otuli się w mrok i posieje cienie, jak na oną niewiastę w barwistych zwojach wstążek — co u proga stanęła. Jeszcze za nią majaczeją gęśli grania i pohuk basów — a ty ciszo szarą dłonią wygładziłaś opar izby, nasyciłaś świerszcza szeptem i do strug jesiennych — do wichrowego hulania — wcisnęłaś cienie z zamglonych oczu siwej ujny i oną rozkoszy chcącą czerwień z warg młodej.

Tak-ci na się poglądały. Maryna wprost z wesela i zgrzybiała ujna.

A nijakiego radowania dopatrzyć.

Jeno długo trwało — a w martwej głuchości — zanim barwnie utrefiona głowa młodej znalazła się przy kolanach ujny.

Wtedy rozbudziła się izba — bo na drżenie utęsknienia szły gradem łzy i taki głos:

---

[1]) Przestraszyłaś; — [2]) bąk; — [3]) zmartwienie.

[4]) siennik.

— ...Dy nie zdzierżę... dy mi chadzać z ptakami po wyrębie... a nawoływać się w śpiewaniu... dy mi wyczekiwać jeszcze na świtaniu... a stroić się w dziopięcy warkocz...

Głowa ujny trzęsła się w obie strony — jakto[5]) się dziwuje, a jakto powiedziałaby wiela:

— ...dy miarkuję, co słuszna; ale zabiercie me żałość... zabiercie!... nachodzi me strachaniem — nie zdzierżę... cosi mam w sercu bojące... cosi na oczach czarne, jakby nieodpędzone gadki na płakanie, na ugryz wieczysty... aże mi gęśle zawodzą...

Wtedy bezzębne wargi starej, po zdumieniu —

— cichoj!... — szepnęły.

A czarny, spracowany palec dotknął różanego kwiecia w wieńcu.

— ...Z Jezusowe woli...

Osunęły się na ziemię ojczenasze z rąk ujny.

Przedziwno wiatr łkał...

Wreście poglądnęły kobiety na święte obrazki i milczały. Po chałupie taiła się w smutku dola chłopskiej duszy — bez błysków poranka i bez światłości weselnej.

— Cobyś tamtych chudzinków nie krzywdziła — ha? — zaszemrało.

— Nie, ujno!...

— ...Cobyś poniechała sytek strój a uradowanie inse...

Cichość potakiwała.

— ...Cobyś mu gazdowała po przykazaniu, do śmierzci, ha?...

— ...Do śmierzci!... — poszło echami, zagubiło się w mroku, rozpłynęło w poszeptach wichrowych — ino w sercu ostało kamieniem, ino ciężarem — jak wszystko, co ścierpieć a nieść z sobą po niewoli trzeba.

Zachodził świt.

Cichawo — bez szelestu a czujnie. Najpierw zszarzały się ciemnie, wychyliły z ramion ciężkie kształty sprzętów w izbie — poprzez siność szyb cisnąć się poczęła z trudem jasność, niesforna, drżąca na załomach, ożywienia pełna. Nabywała blasków, obejmując niemi w dobre rano chatę góralską — igrając dokucznymi promieniami we włosach śpiącej kobiety, aże ciemne oczy się ocknęły.

— Jezusicku! — szepnęła — dy to dzień!...

I już jej nie było na posłaniu.

Jeno od pola szedł słych ptasiego gwaru — bydła poryk — i wołanie:

— Zeń-ze Jasiek! zeń! a nie zabac na stajanie wela górki, jakom ci mówiła...

— No-no!...

Za chwilę wił się strzępiasty płomień między drobny chrust na kominie — zasyczały osmalone boki garnków — a po izbie kładł się mętno w szerokich pasach dym, przenikając i ludzi i rzeczy. A z onego, niby z rozsuniętej chusty, wypadł na ławę przy piecu zwit brudych płacht, kołysaniem roztrącając zsiadły dym. Po opornym szeleście, zadyszały ciężko czyjeś piersi i na tło ogniowego u ściany blasku, wyłoniła się rozczochrana, nadmiernie wielka głowa, o bezdusznym wyrazie; za nią wysunął się zgięty i pokrzywiony tułów kaleki. Rozległ się skowyt: auła... aa!!... auła... niby radośnie; na powitanie słonku bożemu i tej odróbce promieni wciśniętej do izby. Zawtórowało stęknięcie od strony drewnianej półskrzyni. (Ciąg dalszy nastąpi).

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

Skinęłam głową i zacisnąwszy usta, by nie wybuchnąć łkaniem, biegłam przed siebie.

O jakże wstrętną jest niewola!

Za tydzień Wielkanoc, w więzieniu ruch większy, czyszczą, szorują kurytarze, na podwórzu też robią się jakieś porządki, słyszę, jak młode dziewczyny mówią o bluzkach przyszykowanych, więc nawet tu ludzie mogą myśleć o strojach, ubiorach. Makiewicz przyszedł zapytać mię, co pragnę mieć na święta. Spojrzałam ze zdumieniem: cóż za święta w więzieniu?

Mój sąsiad lewy pukał dziś długo do mnie, nie znam mowy więzienia, więc nic mu odpowiedzieć nie mogłam. Gdyby on odczuć mógł, jak mu bardzo współczuję, jak mi go żal, jak mi żal ich wszystkich.

17 kwietnia. Dziwne tragedje odbywają się w więzieniach. Dziś rano usłyszałam dzwonek, domyśliłam się, że to ksiądz idzie do szpitala z P. Bogiem. Nie pierwszy raz już słyszę podobny dźwięk i za każdym razem serce ściska mi się z bólu. Umierać w więzieniu, zdala od swoich, nie mieć przy sobie w ostatniej chwili nikogo,

---

[5]) albo.

prócz policjanta; czy może być cięższa śmierć? Wolałabym już umrzeć wśród jakutów, byle nie pod kluczem — i z policją. I dziś te same myśli przyszły mi do głowy, gdym usłyszała dzwonek; w tejże chwili weszła p. Julia.

— Ktoś tu umiera — rzekłam — nieprawdaż?

— O, to smutna historja — odpowiedziała mi. — Umiera najsympatyczniejsza z kobiet uwięzionych, młoda i dziwnie dobra kobieta.

Prosiłam ją, by mi opowiedziała coś o niej i dowiedziałam się, iż umierająca była żoną robotnika z Sosnowca, przywieziona przed czterema miesiącami do więzienia, w którem już poprzednio był jej mąż, nałogowy pijak, uwięziony za kradzież; o ile mąż był marny, o tyle kobieta, przez ciąg czteromiesięcznego pobytu, zdobyła sobie życzliwość i zaufanie całego otoczenia swą dobrocią, łagodnością, porządkiem we wszystkiem, co tylko robiła. — Zabito jakiegoś strażnika w okolicy Sosnowca, miał to być bardzo zły człowiek i na wieść o tem zabójstwie kobieta rzekła głośno: „A dobrze, że tego zbója zgładzono, dobrze mu tak“. Szpieg doniósł władzy, porwano matkę czworga dzieci i etapem wleczono ją z więzienia gminnego do więzienia w P. W tydzień po przybyciu została matką piątego dziecka.

— I czyż sąd nie uznał jej niewinności? — zawołałam.

— Dotąd osądzoną nie była, czeka w więzieniu na wyrok — odrzekła p. Julja. Chorowała długo i ciężko po urodzeniu dziecka, zaledwo się podniosła i chodzić zaczęła, dostała zapalenia płuc, potem gorączki i dogorywa. — Przez cały czas swej choroby nikomu nie dokuczyła, zawsze cicha i łagodna, stanowczo najlepsza kobieta i zupełnie niesłusznie takie męczarnie przechodzi.

Łzy kręciły się w oczach p. Julji.

— A dziecko? — zapytałam.

— Żyje, bardzo wątłe, wzięłam je pod swoją opiekę, przeznaczyłam niańkę dla niej. Kąpię co dzień, dajemy jej mleko z bułeczką i może uda mi się utrzymać małą Irenkę przy życiu.

— A może matka jeszcze wyzdrowieje? — rzekłam.

— Niema nadzieji, dziś doktor powiedział, że dni jej policzone.

Czyż to nie tragedja — taka śmierć w więzieniu. — I czy to jedno życie w podobny sposób się kończy w tych murach? Ciekawam, czy też kiedy jakiemu strażnikowi więziennemu przychodzi na myśl, że tak straszne zajmuje stanowisko w społeczeństwie. Wczoraj, późno w noc, słyszałam muzykę, dochodzącą z oddali; grano na fortepianie i skrzypcach w mistrzowski sposób. P. Julja powiedziała mi, iż bawiono się u naczelnika więzienia. Czy też wśród zabawy nie brzmiały im jęki konających lub chorych więźniów?

W szpitalu podobno wielu leży chorych, śmiertelność jest wielka, zwłaszcza wśród mężczyzn. P. Julja twierdzi, iż przeważnie umierają i chorują na influenzę, to dziwne jednak, iż trwa ona całymi tygodniami i gorączka zwykle dochodzi do czterdziestu stopni.

22. kwietnia. Wielka Sobota. Próżno człowiek walczy, próżno odgania tęsknotę, odsuwa wspomnienia; pierwsza wżera mu się w duszę i szarpie nerwy, drugie podsycają wyobraźnię, dręczą biednego niewolnika i ognistymi znakami piętnują jego duszę. Czy pamiętasz? powtarza myśl jedna i druga, i nagle w uśpionej duszy budzą się mary, co jak upiory męczą i gnębią ducha. Są zwłaszcza dni ciężkie, brzemienne wspomnieniami, co jak chmura gradowa tłoczą nas. W ogóle nie cierpię oddawna dni uroczystych, są jednak cztery dni w roku, które radabym przespać i nie wiedzieć nic o ich istnieniu. Jednym z takich dni jest Wielka Sobota. Dziś bardziej, niż kiedy, nieznośny mi ten dzień. Chcąc zwalczyć burzę i tęsknotę, poszłam na spacer; spotkałam dzieci, bawiące się na podwórzu; zastanowiła mię ich zabawa. „P. Naczelniku“, mówiła dziewczynka jasnowłosa, „kaj ja mam iść“? „Marynka pójdzie dziś do karceru, boś starszemu urągała“ — mówił p. naczelnik, ośmioletni Wacek. „O, ja już nigdy nie będę, panie naczelniku“ — płakała obwiniona. „No cicho, marsz, a Izabela niech idzie na wolność, oto paszport“. Izabela pięcioletnia, drobna, bladziutka i słodka, podniosła brudny świstek, poprawiła spodniczkę, zarzuciła na ramiona chuścinę i rzekła: „Ostańcie z Bogiem“ i podreptała w około. „ A ty, Bronka, to pojedziesz na Sybir, boś ty pieniądze robiła, teraz idź dzwoń do kaplicy“. Rozczochrana, pyzata Bronka podeszła do starego śmietnika i uderzając kijkiem weń, wołała: bam, bum, bam, bum. „Teraz będziesz śpiewać“, rozkazywał Wacek, stanął koło śmietnika, uderzał weń kijem i głośno wołał: „Święty, święty, wielki Boże, zmiłuj się nad nami“, a Bronka wraz z innemi dziećmi piskliwie zawodziła: „Wisi, wisi na krzyżu, Pan Jezus Chrystus“.

— Co tam za hałasy wyprawiacie — zagrzmiał bas p. Piwońskiego, strażnika od kobiet —

co to wam las, czy co? toć więzienie? pod numer mi zaraz!

Jak rozbite stado wróbli, tak się cała gromadka dzieci rozleciała, straszny wyrok spełnionym jednak nie został; p. Piwoński znikł kędyś w sieni, a dziatwa znów się bawić zaczęła, tylko teraz każde na własną rękę coś wynalazło. Było ich wszystkich sześcioro. Wacek, najstarszy, ośmioletni chłopak, o dużych inteligentnych oczach i przebiegłej twarzy, kocim nieco ruchem zbliżał się ku mnie.

Zapytałam go, jak dawno już tu jest i z kim.

— Z mamą tu jestem — rzekł mi — i już bardzo dawno, a ot i mama tu idzie. Moja mama tu praczką jest. (C. d. n.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Szkice i rozprawy z piśmiennictw słowieńskich: Anton Askerc, poeta słowieński. Sylweta jubileuszowa — (1856—1906). Napisał Tad. Stan. Grabowski. Kraków. G. Gebethner i Sp. 1906.

Autor niniejszej „sylwetki jubileuszowej“, p. Grabowski jest wśród młodych krytyków jedynym, który sporą część swych studjów, szkiców i rozpraw poświęca wyłącznie literaturom słowiańskim. Wydana osobno sylwetka Antona Askerca, poety słowieńskiego, kreślona po części ze stanowiska słowieńskiego, co autor przekonywująco uzasadnia, — daje nam wyraźne i barwne pojęcie o tym poecie, jego stanowisku i stosunku do literatury i społeczeństwa słowieńskiego. Anton Askerc ur. 9. stycznia 1856 r. w Styryi, w Rimskich Toplicach. Po ukończeniu szkół poświęcił się stanowi duchownemu. Stan ten jednak porzucił niebawem i poświęcił się wyłącznie literaturze, publicystyce i pracy bibljotecznej. Askerc wprowadził do poezji słowieńskiej „zupełnie świeży czynnik: realizm życiowy, którego jest twórcą w poezji słowieńskiej“. *Fel. Gw.*

NOTATKI.

Kilka słów o potrzebie przyzwyczajania dzieci do zbiorowej pracy. W jednem z warszawskich pism pisze p. Estewa: „W ciągu bieżącego roku, który dla naszego szkolnictwa był rokiem organizacyjnym, społeczeństwo niejednokrotnie wyrażało życzenie, aby polska szkoła była nie tylko przybytkiem suchej, teoretycznej nauki, ale również i instytucją wychowawczą, przygotowującą młodzież do przyszłej działalności obywatelskiej

W celu uspołecznienia naszej młodzieży jest konieczne wytworzyć wśród niej, od pierwszej klasy poczynając, związek samopomocy. Niech uczeń mocny w jakimś przedmiocie, czuje się zobowiązany do wspólnej nauki z kolegą słabym, niech dziatwa zakłada własne kasy, składając na ręce wybranego ze swego grona skarbnika groszowe, lecz stałe składki i niech fundusz w ten sposób zebrany użyje na opłacenie wpisu za niezamożnego, a dobrze się uczącego kolegę, niech uczniowie, przechodząc z klasy do klasy, zostawiają w szkole na użytek niezamożnych kolegów niepotrzebne im już podręczniki, wreszcie niech utrzymanie ładu, karności i porządku w klasie zostanie powierzone uczniom.

Do takiej pracy zbiorowej, systematycznej, gdzie zasługa jednostki ginie, a na całość składają się tysiące, chcę wezwać wszystką uczącą się młodzież płci obojga. Idzie mi o utworzenie całego szeregu muzeów dla ochronek i szkół ludowych.

Gdyby każdy uczeń w ciągu wakacji zasuszył pewną ilość roślin, znajdujących się w okolicy przez niego zamieszkanej, a następnie plony swej pracy przyniósł do szkoły, to możnaby ze wszystkich uzyskanych okazów utworzyć zielniki, obejmujące całą niemal florę naszego kraju.

To samo tyczy się minerałów — niech każdy zbiera i kolekcjonuje to, co ma na miejscu, a napewno we wspólnym zbiorze znajdziemy obok pospolitych krzemieni i granitów, marmury, rudy, kruszce w stanie surowym i przerobionym, próby przemysłu fabrycznego i t. p.

Największą trudność sprawi kolekcjonowanie owadów, gdyż tu potrzeba już nietylko dobrej woli, ale i dużej umiejętności, aby zebranych okazów nie zniszczyć przez nieświadomość. Pojedyńczych sztuk przewozić nie można, lecz należy odrazu preparaty umieszczać w oszklonych szafeczkach.

Do muzeum wszystkie okazy się nadają, więc zanoszę gorącą prośbę do społeczeństwa, niech nam znoszą dary ci, co w fabrykach są zatrudnieni i ci, co wyjeżdżają za granicę i stamtąd coś ciekawego mogą przywieść, i ci wszyscy, którym rozwój naszego szkolnictwa leży na sercu. W Danji, w Szwecji, w Szwajcarji w taki właśnie sposób zebrane okazy stały się podwaliną bogatych muzeów szkolnych, tam dzieci celowo kolekcjonują i czują się od zarania lat czynnymi członkami kultury społecznej.

Jeżeli projekt niniejszy uzyska poparcie panów dyrektorów szkół i pań przełożonych pensji, to może zechcą jeszcze przed wakacjami urządzić w swych uczelniach pogadanki przyrodnicze, obznajmiające uczniów, jak należy okazy preparować, kolekcjonować, opakować, aby praca nie była stracona. Dzieci zaś, które sprawę tę do serca wezmą, napewno podczas lata na nudy wyrzekać nie będą“.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.